

————— Józef Puciłowski OP —————

Życ nie umierać

czyli jak wierzyć i nie zdiadzić



wydawnictwo wam

Za zgodą
Przełożonego Polskiej Prowincji Dominikanów
Ks. Pawła Kozackiego OP
Warszawa, dnia 20 września 2016 r., Reg. Prow. 597/16

© Wydawnictwo WAM, 2016

Opieka redakcyjna: Dorota Trzcinka
Opracowanie: Agata Adaszyńska-Błacha
Redakcja: Karolina Macios
Korekta: Zofia Smęda
Projekt okładki: Katarzyna Ewa Legendź
Zdjęcie na okładce © Fot. Michał Łepecki/Agencja Gazeta
Skład: EDYCJA

Wszystkie cytaty biblijne za: Pismo Święte Starego
i Nowego Testamentu, Wydawnictwo Pallotinum, Poznań 2003

ISBN 978-83-277-1248-6

WYDAWNICTWO WAM
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków
tel. 12 62 93 200 • faks 12 42 95 003
e-mail: wam@wydawnictwowam.pl
www.wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY
tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496
e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA
tel. 12 62 93 260
e.wydawnictwowam.pl

druk: OPOLGRAF • Opole

Zamiast wstępu –
kilka słów o autorze tej książki

Józef lubi, jak jest czysto i ładnie. Sprząta salę rekreacyjną, uprawia ogród, pielęgnuje róże. U nas w klasztorze jest taka instytucja pokuty i czasem, jako zadośćuczynienie, dostajemy właśnie prace w ogrodzie. Kiedyś jeden z braci spotkał tam ojca i zapytał go, co przeszkrobał, skoro pieli grządki. Ale Józef to lubi i sam tego szuka!

W celi Józefa zawsze jest schludnie. Sprząta w niej sam, regularnie. Półki aż pod sufit wypełnione są książkami, nie tylko historycznymi, chociaż to jego wielka pasja. Wieczorem palą się świece. Ojciec dba o takie drobiazgi, ceni je. Często coś u siebie zmienia, przestawia. Szczególnie lubi przeróżne „pierdółki”, jak sam je nazywa: pamiątki, zdjęcia, obrazki czy właśnie świece. Podobno ma to po matce, która też dbała o każdy szczegół wystroju jego rodzinnego domu. Pewne elementy pojawiają się i znikają, inne zdobią jego celę na stałe. Na przykład zdjęcia ojca z Tadeuszem Mazowieckim, z którym łączyła go przyjaźń, i z profesorem Bartoszewskim, który wywarł duży wpływ na jego życie i sposób myślenia.

Na ścianie wisi flaga Węgier, skąd Józef pochodzi. Na biurku stoi zdjęcie kalwińskiego kościoła w Paksie, gdzie jako malec przyjął chrzest. Jeszcze jako dziecko przeszedł na katolicyzm, natomiast dalej bliski jest mu ekumenizm i czerpie z tradycji protestanckich. Obca jest mu religijność maryjnych objawień, dostrzega natomiast wartość Bożego Słowa i innych zachęca do jego lektury.

W celi wiszą także dwie flagi Izraela: duża i mała. Ojciec ceni sobie tamtejszą kulturę i tradycję, a także uwielbia dowcipy żydowskie. Czyta je, gdy ma zły humor. Bywa i tak, że zabiera je ze sobą do konfesjonału!

Ma wyraziste poglądy i wcale się z tym nie kryje. Wyraża je dobitnie, z właściwą sobie inteligencją i ciętym humorem, czym zraża do siebie niektórych. Nie potrafi udawać. Czasem zapala się, głosząc kazania. Wali pięścią w ambonę, na przykład gdy mówi o katechizacji w szkołach i o tym, jak niski poziom wiedzy religijnej wykazują penitenci. Raz na mszy, którą razem sprawowaliśmy, pojawił się polityk, którego Józef nie cierpi. Modliłem się, by go nie zauważył. Udało się. Dopiero później, w drodze do zakrystii, powiedziałem mu o obecności polityka. Kiedy z jego ust padło kilka dobitnych określeń, utwierdziłem się w przekonaniu, że dobrze zrobiłem. Józef jest transparentny w swoich poglądach. Nie można być wobec niego

obojętnym. Albo się go nie znosi, albo się za nim przepada, ale z zasady lepiej z nim dobrze żyć.

Homilie Józefa mają społeczny wymiar. Komentuje w nich Słowo Boże według posoborowej szkoły, odnosząc się do każdego z czytań, natomiast jego komentarz jest bardzo konkretny, nawiązuje do bieżących wydarzeń. Homilie te, zupełnie jak jego osoba, bywają albo przyjmowane z entuzjazmem, albo krytykowane za to, że są „polityczne”. Moim zdaniem polityczne nie są, nie są też jednak politycznie obojętne. Kilka razy zdarzyło się, że ktoś wpadł do zakrystii zbulwersowany tym, co usłyszał. „Od razu wyczułem, że to Polak-katolik” – zwykł komentować Józef.

Jego krewki charakter dobrze obrazuje komiks autorstwa naszego współbrata Tomasza Rojka. Józef głosi kazanie, w czym przeszkadza mu jakiś malec. Józef cały się gotuje, w pewnym momencie wyjmuje broń, strzela do natręta i... spokojnie głosi dalej. Ten komiks także wisi w jego celi. Józef ma duży dystans do samego siebie i potrafi się z siebie śmiać. Co wrażliwszych – oburzonych losem, który spotkał dzieciaka – spieszę uspokoić, że Józef lubi dzieci i mimo wybuchowego charakteru zwykle występuje w ich obronie, a nie przeciwko nim. Nieraz podczas sprawowanej przez siebie mszy apelował o to, by powstrzymać się od „wszelkich form represji i terroru wobec dzieci brojących w kościele”.

Kiedy podczas chrztu dziecko płacze rzewnie i rodzice nie potrafią go uspokoić, ojciec odpowiada na ich zakłopotanie żartobliwym stwierdzeniem: „Ten płacz jest już inny, katolicki” i zachęca, by dobrze się weń wsłuchać. Zwykle też na samym początku, kiedy padną wszystkie pytania do rodziców i chrzestnych, oznajmia, że „wszystko odbyło się zgodnie z protokołem i można już się pomodlić”.

Ludzie w kościele potrzebują poczuć się u siebie, a Józef im to ułatwia. To nie jest u niego wystudiowane. On to robi spontanicznie, jest w tym autentyczny. Wprowadza element delikatnego humoru. Bardzo dba o liturgię i przenigdy nie zrobiłby z siebie na mszy pajaca. Potrafi godzić godność celebransa z komicznymi uwagami, stwarzając tym samym ciepłą, swobodną atmosferę. Józef zwykle sprawuje niedzielą mszę o 13:30 po ojcu Andrzeju Kłoczowskim, któremu zdarza się przedłużyć swoją tak zwaną dwunastkę ze względu na chrzest piątki czy nawet szóstki dzieci. Wtedy Józef przeprosza za spóźnienie, żartując, że on chrzci tylko jedno dziecko, więc może uda się nadgonić stracony czas. Podczas ogłoszeń, przed zachętą do lektury dominikańskiego miesięcznika „W Drodze”, wtrąca: „Teraz czas na katolicką propagandę”.

W celi wisi też zdjęcie Józefa w Tatrach. Siedzi na nim na tle Kozich Wierchów, jeszcze jako pracownik naukowy Uniwersytetu Wrocławskiego, zanim wstąpił do zakonu. Można by powiedzieć,

że spędził w górach młodość. Był wtedy rudy i miał długą brodę. Jakies dwa lata temu był w Karkonoszach i coś mu strzyknęło w kręgosłupie. Gdy lekarz dowiedział się, w jakich okolicznościach doszło do kontuzji, zasugerował, by Józef czasem spojrzął w swoją metrykę. Od tej pory ojciec nie jeździ w góry. Co nie oznacza, że pokornie przyjmuje wszystkie ograniczenia swojego wieku.

Specyficzne dla niego jest to, z kim trzyma w zakonie. W jego najbliższym otoczeniu są właściwie sami znacznie od niego młodszy bracia. Swoim podejściem do życia, świeżością myślenia i poczuciem humoru Józef po prostu lepiej pasuje do tego towarzystwa. Jest tak młody duchem, że mógłby tym zawstydzić niejedną sporo młodszą od siebie osobę. Nie ma w nim ani krzty goryczy, która przychodzi z wiekiem. Żałuje co prawda, że nie udało mu się pogodzić habilitacji z obowiązkami w zakonie, ale nie rozpamiętuje tego nadmiernie.

Nie ma w nim także zazdrości czy zawiści wobec zakonnych braci. Cieszy się ich osiągnięciami, chodzi po klasztorze i o nich opowiada, chwali ich. Zawsze cieszył się, że jego magistranci tak jak on interesują się historią. Nigdy nie odczuwał tego rodzaju lęku – co zdarza się w środowisku naukowym – że „ktoś będzie ode mnie lepszy i jeszcze mnie wygryzie”.

To dobry, ciepły człowiek. Potrafi wybaczyć wiele ludzkich słabości, nie cierpi natomiast chamstwa



Pod Kozimi Wierchami z Heimi Mehlhorn, koniec lat 70.
Fot. Ludwig Mehlhorn (archiwum Autora)

i braku ogłady. Roznosi go, gdy ktoś źle siedzi przy stole i nie umie się zachować. Sam reprezentuje pewien sznyt, starą szkołę i tego uczy innych, młodszych, którym brakuje kindersztuby. To jest bardzo

cenne, bo te maniere zanikają. Są niesamowicie rzadkie zwłaszcza wśród ludzi Kościoła. Józef na przykład zawsze na pożegnanie całuje kobietę zamężną w rękę, czego księża raczej nie robią. Ale najpierw jest się człowiekiem, a później kapłanem i pewne zasady obowiązują niezależnie od reprezentowanego stanu.

Nie każdy ma to szczęście, że może tak jak ja zajrzeć od czasu do czasu do celi ojca Józefa, pobyc z nim, porozmawiać na poważne tematy, pospierać się, pożartować. Tym bardziej warto dać sobie szansę, żeby poprzez lekturę tej książki poznać go lepiej i przebyć z nim pewną drogę intelektualnych i religijnych poszukiwań odpowiedzi na pytania, które w niej padają.

o. Dawid Kusz OP

Dla kogo ta książka?

Są tacy, którzy zachowują się tak, jakby poznali już wszystkie odpowiedzi. Nawiasem mówiąc, to częsta przypadłość wśród księży. Znają się na polityce, gospodarce, sztuce sakralnej... Mało brakuje, a zaczną doradzać, jak uprawiać jabłka. Nie tylko wypowiadają się na tak różnorodne tematy – o których często nie mają pojęcia – ale jeszcze robią to z namaszczeniem, z ambony. Absurd! Ja to konsekwentnie tępię. Raz jednemu ze swoich współbraci powiedziałem, że jeśli sądzi, że wie wszystko, to tak jakby umarł. Niech sobie kupi trumnę i zatrzaśnie wieko, to go pogrzebimy. A ponieważ miał swoje lata i kostucha łypała już na niego pożądliwie, to – jak można się domyślić – nie przyjął tego najlepiej. Nie odzywamy się od tego czasu, ale nie żałuję. Chyba każdy porządny człowiek ma wrogów, a jeśli ich nie ma, to jest miałka, takie lelum polelum. Ja zawsze cytuję Hitlera, który przed konferencją monachijską krzyczał: „Tylko żeby jakaś świnka z mediacją się nie zjawiała!”. My nie chcemy się otruć, nie dochodzi do mordobicia – po prostu nie rozmawiamy, więc

przynajmniej jest większy spokój. Nawet zrobiłem sobie z tego rachunek sumienia i przekonałem się, że gdyby tego potrzebował, pomógłbym mu. Chrystus nie mówi, by nie mieć nieprzyjaciół, ale by miłować tych, których się ma.

Ja nie twierdzę, że wszystko wiem. To byłoby głupie. Każdy człowiek jest jedyny i niepowtarzalny. Nie ma jednej właściwej odpowiedzi, nadającej się dla każdego. Przedłożona czytelnikowi książka nie rości sobie zatem prawa do tego, by udzielić wyczerpującej odpowiedzi na pytania, które w pewnym wieku warto sobie postawić. Ta książka to próba wspólnego poszukiwania odpowiedzi, i to do owego poszukiwania chcę zaprosić czytelników. Ma ono dziać się tu i teraz, być świeże, inspirować do zadawania kolejnych pytań, otwierać głowę i serce. Chcę w tym naśladować papieża Franciszka, kiedy rzuca pewne kwestie, nie rozwiązując ich. One zostają z zachętą, by coś z nimi zrobić. Bóg też dużo rzeczy rozrzuca. Cały czas to robi. Nasz świat nie jest doskonały. Roi się od problemów. Jak ten trujący barszcz, który rokrocznie sam się rozsiewa, stanowiąc dla nas zagrożenie. Problemy są naszymi zadaniami do rozwiązania. Dopóki je dostrzegam i mierzę się z nimi, dopóty żyję. Człowiek mądry pyta i szuka odpowiedzi. Może potrzebna będzie do tego filiżanka mocnej i słodkiej kawy, koniecznie z ekspresu, takiej jaką piję u siebie w klasztorze na ulicy Stolarskiej w Krakowie, sta-

rannie pielęgnując ten nałóg? Zaryzykuję zgorzenie i zaproponuję nawet buteleczkę dobrego piwa... Skoro Zagłoba wymyślał fortele po alkoholu, dla czegoż by z tego nie skorzystać?

O jakie pytania chodzi? Dobrze jest po pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu latach podsumować, jak się żyje, co się osiągnęło, a czego nie, jakie błędy się popełniło. Jakie jest moje małżeństwo, relacja z dziećmi, stosunek do pracy, czasu, pieniędzy i co z moją wiarą? Przecież ona powinna wskazywać mi kierunek w tych konkretnych obszarach mojego życia. A może idzie równoległym torem i nie ma większego wpływu na sprawy, którymi żyję?

Od razu warto przygotować się na to, że pewne odkrycia i odpowiedzi nie będą przyjemne. Grunt, by nie dać się zgorzknieniu. „Jestem taki biedny, nie ma dla mnie nadziei” – takie myślenie to głupota, a na nią nie ma recepty. Warto ją jednak nazwać już na samym początku. To prawda, że zmiana tego, co od lat funkcjonuje źle, nie jest łatwa. Ale co w życiu takie jest? A miłość jest łatwa? Wychowanie dzieci jest łatwe? A kapłaństwo jest łatwe? Ukończenie studiów jest łatwe? Jeśli coś nie jest trudne, to i z reguły warte funta kłaków! Podobnie jak w sporcie: na sukcesy się pracuje. Gdy ktoś czuje, że musi popracować, to znaczy, że żyje. Ja właśnie dlatego, pomimo swoich przekroczonych siedemdziesięciu sześciu lat, nie jestem zgorzkniały. Sam odkurzam cełę, sam myję w niej okna, a jak mnie coś

zdegeneruje, to idę popracować do ogrodu. Klerycy przychodzą porozmawiać. Mam też kupę przyjaciół, czasem by już mogli dać mi święty spokój, ale na szczęście tego nie robią. A zatem ta książka ma zachęcać nie tylko do poszukiwania odpowiedzi, ale też do zmiany, otwierania się na to, co nowe, do działania.

Na to nigdy nie jest za późno. Wspomniane pięćdziesiąt, sześćdziesiąt lat to dolna granica, bo chodzi o to, żeby w tym procesie zmian wykorzystać swoje doświadczenie i zgromadzoną wiedzę, ale na nich się nie zatrzymywać. Zachęta do takiego rozwoju jest bardzo spójna z panującą obecnie tendencją. W pewnej przedwojennej gazecie pisało, że zginął pięćdziesięcioletni staruszek. Teraz pięćdziesięciolatka nikt tak nie nazwie, bo on żyje aktywnie, rozwija się, uprawia sport, podróżuje, kształci się, poznaje nowych przyjaciół, zmienia zawód i tak dalej. Dlaczegoż by w tym wieku nie postawić także na rozwój swojej religijności – jej weryfikację i obranie kursu na pełne wody, zamiast trwać na mieliźnie? Wiara w Boga może przemienić wszystkie najważniejsze obszary życia i nadawać im sens – czemu zatem nie spróbować? Tym, którzy wolą starą, sprawdzoną mieliżnę, proponuję już teraz odłożyć tę książkę na półkę.

1

Biblia, czyli busola

Jako eksprotestant cieszę się, że Sobór Watykański II zwrócił nam, katolikom, Biblię. Pochodzę z rodziny kalwińskiej – moi dziadkowie, rodzice mojej matki, byli Węgrami wyznania kalwińskiego. Na biurku dziadka zawsze leżało otwarte Pismo Święte. Zapamiętałem je z dzieciństwa jako ogromną księgę. Kiedy pojechałem na Węgry już jako dorosły człowiek, okazało się, że wcale nie była taka duża. Nie zmieniło się natomiast centralne miejsce przyznawane jej w domu. Pismo Święte zawsze było w zasięgu ręki. Dziadek regularnie do niego zaglądał. Kiedy na jego winnicę spadł grad i spowodował liczne szkody, cytował babci proroka Izajasza, żeby nie wpadała w rozpacz. Gdy po wojnie komuniści przyszli skonfiskować majątek, to przytoczył im słowa Psalmu 79: „Boże, poganie przyszli do Twojego świętego dziedzictwa, zbezczęścili Twój święty przybytek” (w. 1). W takim podejściu do Biblii wyrosłem i jest mi ono bardzo bliskie. Kiedyś czytałem wspomnienia

hrabiego von Moltke¹, który został stracony jako jeden z uczestników zamachu na życie Hitlera. Przed śmiercią napisał do swojej żony, że jest dla niego jak *Hymn o miłości*. Piękne świadectwo tego, jak Słowo Boże przenika się z życiem! On był ewangelikiem. Zmierzam do tego, że koledzy „heretycy” lepiej znają Biblię. My zabrnęliśmy we wszelkiego rodzaju cudeńka, przeróżne nabożeństwa – bądź co bądź drugorzędne – a zagubiliśmy Pismo Święte. Nawet różaniec, który jest modlitwą biblijną, nauczyliśmy się klepać bezmyślnie. Co stoi na przeszkodzie, by odmówić mniej części, ale za to tak, jak należy: przed każdą tajemnicą przeczytać stosowny fragment Biblii lub czyjś komentarz do niego? Wtedy przynajmniej nikt nie będzie się zastanawiał na przykład, czy Elżbieta była nawiedzona...

To nie świeccy ponoszą winę za to, że ludzie nie sięgają po Biblię. My, duchowni, powinniśmy ich do tego zachęcać. Oczywiście nie wystarczy powiedzieć: „przeczytaj”, bo dla osoby niewtajemniczonej tekst Biblii jest trudny, a przez to bywa i nudny. Trzeba wskazać na konkretne fragmenty, może nawet na początku towarzyszyć im w ich lekturze, służyć pomocą przy problemach w interpretacji, wyjaśnić, odesłać do odpowiedniej litera-

¹ Helmut James Graf von Moltke – ur. 11 marca 1907 roku w Krzyżowej, stracony przez Gestapo w Berlinie 23 stycznia 1945 roku. Niemiecki prawnik wojskowy, założyciel Kreisauer Kreis (Kręgu z Krzyżowej).

tury. Problem polega na tym, że zbyt mało księży uczy świeckich miłości do Biblii. Nawet zadając pokutę w konfesjonale, sięgają po różne duchowe „dyrdymałki” zamiast po fragmenty Słowa Bożego. Ja zawsze daję Boże Słowo. Kiedy wyczuwam u kogoś lekkość mówienia, pytam, czy lubi poezję, i podsuwam konkretne psalmy. Raz nawet starsza penitentka na moje pytanie, czy zna Słowo Boże, zachnęła się, że przecież nie jest świadkiem Jehowy. To niby katolikom znajomość Słowa nie jest potrzebna? Wierutna bzdura! Kiedyś na spowiedzi miałem panią w swoim wieku. Inteligentna, bardzo sympatyczna, otwarta, ale Biblii w rękę nigdy w życiu nie miała. W zakonie mamy kieszonkowe, dwieście złotych. Za wszystko inne za nas płacą, więc wystarczy. Poszedłem do sklepiku Ośrodka Liturgicznego na krużgankach i kupiłem jej Biblię. Pomyślałem sobie, że warto w taką babkę zainwestować. Trzymała ten egzemplarz Pisma Świętego, jakby miała Najświętszy Sakrament w rękę. Prosiłem, by czytała, korzystała. Czasem Biblię trzyma się tylko na półce, a zdejmuje z niej, gdy ksiądz chodzi po kołędzie.

Muszę powiedzieć, że dzisiaj młodzież jest dużo lepsza niż za moich czasów. Około dziewięćdziesięciu procent młodych, których spowiadam, ma Biblię, a co więcej – czyta ją. Kiedy zadaję im fragmenty, orientują się w nich, wiedzą, gdzie ich szukać. Miód na serce spowiednika! Raz nawet penitent

wyrecytował mi z pamięci obszerny fragment *Hymnu o miłości*. Miałem ochotę wyjść z konfesjonału i go uściskać, ale się powstrzymałem. Może to w naszej bazylice mamy takich penitentów, sam nie wiem. Wiem natomiast, że tu, w Krakowie, jest olbrzymia liczba młodych ludzi, wychowanków duszpasterstw, którzy czytają i znają Pismo Święte. Gdy patrzę na współczesny Kościół, to jestem optymistą. Być może liczbowo się on zmniejsza, ale jakościowo poprawia. Kiedyś Kościół był Kościołem kleru. Mało tego, nawet duchowni musieli mieć pozwolenie, by sięgać do Bożego Słowa, świeccy nie mieli na to żadnych szans. Sobór to zmienił. Papież Franciszek także wskazuje nam kierunek biblijny, gdy zawsze przed modlitwą *Anioł Pański* komentuje Słowo Boże. Często korzystam z jego komentarza, gdy wychodzę na ambonę głosić homilię. Postawa papieża i kierunek wyznaczony po Soborze Watykańskim II to zachęta, by otworzyć się na Biblię. Dopóki człowiek samodzielnie chodzi i czyta, może się uczyć i zmieniać przyzwyczajenia. Jeśli ktoś mi mówi, że nie potrafi, nie jest mu to potrzebne albo nie chce mu się, to najczęściej właśnie trzecia odpowiedź jest prawdziwa. Bierzmy przykład z młodych i sięgajmy po Biblię!

Dlaczego? Bo ta książka inspirowa. Nie da się jej przeczytać raz, a dobrze. Ciągłe odnajduje się w niej coś nowego. To żywe słowo Boga, które daje odpowiedź, prowadzi, rzuca całkiem nowe światło na

wiele spraw. To dlatego fragmenty z Pisma Świętego będą wprowadzały w każdy kolejny rozdział przedłożonej czytelnikowi książki. Nie po to, by dokonać ich egzegezy, ale by nadawały kierunek naszym rozważaniom, stawały się przyczynkiem do tego, żeby szukać głębiej i nie zatrzymywać się na gotowych odpowiedziach. Takie podają świadkowie Jehowy, gdy nawiązują rozmowę z osobami stawiającymi pytania. To jest zamknięcie. Nie cieszymy się jednak przedwcześnie, bo u nas też tak bywało. Sam uczyłem się z takiego katechizmu, gdzie były gotowe odpowiedzi – „pseudofilozofia” i „pseudonauki” moralne. Tak samo można potraktować Biblię. Wyuczyć się wyrwanych z kontekstu cytatów jako gotowych formułek. Wtedy przestaje się być autentycznym. Pan Jezus sam kładzie kres takiemu traktowaniu Bożego Słowa, na przykład gdy pozwala uczniom łuskać kłosa w szabat, czym budzi zgorszenie faryzeuszy. Napięcie pomiędzy zwolennikami gotowych formuł a osobami cieszącymi się swobodą, jaką daje lektura Bożego Słowa, jest jak najbardziej aktualne. Pośród nas można spotkać wielu oburzonych na innych „faryzeuszy”, którzy powołują się przy tym na Biblię i zdają się wszystko wiedzieć lepiej niż sam Pan Bóg.

Otwartość na tekst Biblii nie oznacza natomiast dowolności w jej interpretacji. Nie rozumiesz? Przeczytaj przypis! Nie musisz się też ograniczać do jednego wydania. Można zaglądać do

różnych, porównywać, czytać w obcych językach, jeśli się je zna. Ja chętnie sięgam do Biblii niemieckiej, węgierskiej czy polskiej ekumenicznej – tłumaczonej przez biblistów różnych denominacji, także katolików. Takie porównywanie pokazuje różne konotacje użytych sformułowań, otwiera oczy na ich inne znaczenia. Wartościowe są także tłumaczenia bardziej współczesne. Nie do każdego czytelnika trafi tekst dziewiętnastowieczny. Nikt już nie używa słów takich, jak „azaliż”, a te mogą odciągać naszą uwagę od treści. Fragmenty trzeba czytać jako część pewnej całości. Nieraz można się spotkać z wyrwanymi z kontekstu obrazkami, które są na tyle sugestywne i wyraziste, że przypominają komiks. Biblia to zbyt poważna księga, by traktować ją w taki sposób. Ona wymaga szacunku. Co nie oznacza, że nie można w niej kreślić.

Moje Pismo Święte jest już dość zużyte i popisane, bo stale mi towarzyszy. Wciąż korzystam z egzemplarza, z którym ponad trzydzieści lat temu przyszedłem do zakonu. W szkole uczy się nas, że książkę należy obłożyć i najlepiej od razu umieścić na półce, by jej czasem nie zniszczyć. To błędne podejście. Ona jest po to, by z niej korzystać, a korzystanie z Pisma Świętego oznacza, że pewne fragmenty będą dla nas ważne, będziemy chcieli do nich wrócić. Warto je więc podkreślić, wynotować sobie coś na marginesie. Ta książka ma być uży-

wana. Być może fragmenty zaproponowane jako wstęp do kolejnych rozdziałów okażą się nowym spotkaniem ze Słowem Bożym. Zachęcam, by na tym nie poprzestawać, ale zdjąć Biblię z półki i zerzeć nagromadzony na okładce kurz. Czas zacząć korzystać z bogactwa, które mamy pod ręką.